



PISMO TYGODNIOWE.

Nr. 33.

Rok 1922, WARSZAWA, 12 Sierpnia

Rok LV

Kongres Katolickich Związków Kobięcych w Rzymie.

Skuteczną bronią dla walki z działalnością, podrywającą powagę kościoła, może być tylko pogłębianie wiedzy religijnej i szerzenie jej wśród mas, przy pomocy specjalnie w tym kierunku kształconych katechetów. We Francji liczne szeregi młodych panien, w latach poprzedzających zamążpójście, poświęcają się nauczaniu dzieci, pozbawionych w szkole i w domu wpływów religijnych.

Belgijki, poparte przez delegatki polskie postawiły wniosek o uproszczenie i o jaśniejsze i mniej szematyczne sformułowanie podręczników katechizmu.

Uchwalono żądać zrównania w prawach szkół wolnych z państwowymi i dążyć do najwydatniejszego udziału kobiet w wychowaniu religijnem mas, oraz w pracy nad katolickimi związkami zawodowymi i w patronatach nad młodzieżą szkolną i rzemieślniczą.

W pracach Sekcji II, obejmującej walkę o moralność, wysunęły się na pierwszy plan włoski.

Ks. Giustiniami-Bandini w doskonałym referacie przedstawiła konieczność zreformowania mody, rażącej zarówno nieskromnością jak zbytkiem i ciągłą, a rujnącą zmiennością, oraz stanowczej walki z nowoczesnymi tańcami, które rażą zarówno stroną moralną jak estetyczną. Uchwalono w tej sekcji daleko idące rezolucje, żądając wznowienie tańców ludowych i narodowych, stanowcze wyrzeczenie się nowych tańców amerykańskich, wstrzymanie się od zabaw tanecznych podczas postu, popieranie tylko mody przyzwoitej, niedopuszczalność dla panien uczęszczania do rozpowszechnionych zagranicą „danzingów“, publicznych sal tańca i t. d.

Referentka działu widowisk i kinematografów pani di Lure, która jest w Rzymie

członkiem komitetu, cenzurującego filmy, wykazała jak kinematografy, które mogą być potężnym środkiem wychowawczym i kształcącym, stają się nieraz szkołą znieprawienia dla młodzieży i zalecała reformę w cenzurowaniu filmów.

Delegacja polska postawiła wniosek o stworzenie międzynarodowego towarzystwa dla organizowania przedstawień kinematograficznych, zgodnych z zasadami moralności, dążenie do założenia fabryki film it.p.

Wniosek z pewnymi zmianami został przyjęty.

Referaty i uchwały Sekcji III (Walka z prostytutką i handel kobietami i dziećmi) wykazały jak szerokim liberalizmem i jak nowoczesnym duchem jest owiany ruch katolicki.

Z prawdziwie godną jedynomyślnością uchwalono daleko idące wnioski o podźwignięciu kobiety z poniżenia i niewoli prostytutki, o ochronie jej przed zagrażającymi jej ze wszystkich stron niebezpieczeństwami i o konieczności moralnego odrodzenia ludzkości.

Wszystkie bez wyjątku uczestniczki kongresu wypowiedziały się za zniesieniem reglamentacji prostytutki, która nie jest walką z nierządem, ale raczej usankcjonowaniem tej strasznej krzywdy społecznej; wszystkie uznały również że istnieje tylko jedna moralność dla obu płci i że należy zwalczać szeroko rozpowszechniony przesąd, iż wstrzeźliwość ujemnie wpływa na zdrowie młodzieży męskiej. Wychowanie religijne i higieniczne nauczy młodzież panować nad sobą i wpoi w nią przeświadczenie, że nie ma odrębnej moralności dla każdej płci i że najwyższą niesprawiedliwością jest zrzucanie całego ciężaru winy na kobietę, gdy współwinnym zawsze jest mężczyzna.

Niezmiernie ciekawy referat na ten temat wygłosiła przedstawicielka katoliczek angielskich Miss Fletscher.

Obrady Sekcji IV: „Przygotowanie kobiet do pełnienia obowiązków obywatelskich“ wywołały niezwykle zainteresowanie i nader ożywioną dyskusję. Dla wielu uczestniczek kongresu były one do pewnego stopnia objawieniem, nie przypuszczały bowiem, aby kobiety związki katolickie, zwłaszcza w krajach łacińskich, gdzie kobiety jeszcze z równouprawnienia politycznego nie korzystają, poświęciły tej sprawie tyle poważnych studjów i tak wszechstronnie się do niej przygotowywały.

W tem przeświadczeniu, że sprawa równouprawnienia politycznego kobiet we wszystkich cywilizowanych krajach jest tylko kwestją czasu zarówno Włoszki, jak Francuski i Belgijki uznały za konieczne gruntowne przygotowanie się do tego, co w ich pojęciu jest jeszcze bardziej obowiązkiem aniżeli prawem.

Drogą kursów, odczytów i wydawnictw wszelkiego rodzaju zapoznają się z konstytucją i prawodawstwem własnego kraju i krajów obcych, z funkcjonowaniem samorządu i administracji, ze wszystkimi sprawami, dotyczącymi kobiet i dzieci, w tem przekonaniu, że przyszła ich praca w parlamentach winna przedewszystkiem iść w tym kierunku.

Przewodniczącą i referentką tej sekcji była Margrabina Patrisi, przewodnicząca katolickiego Związku Włosek, jedna z najwybitniejszych przedstawicielek kobiet włoskich, duch podniosły o szerokim widnokręgu, nastrojony mistycznie, a równocześnie czuły na wszystkie prądy nowoczesnego życia, ujmujący każde zagadnienie ze strony prawdziwie Chrystusowem tchnieniem owianej wiary.

(d. c. n.)

Poglądy pedagogiczne Eleonory Ziemięckiej.

Dziełem, które nas w tej chwili *najwięcej* zainteresować może, w którym Ziemięcka wypowiedziała swe poglądy na wychowanie, a na wychowanie *kobiet w szczególności*, są, wydane w r. 1843 „*Myśli o wychowaniu kobiet*”. Młoda, zaledwie dwudziestoletnia autorka, daje nam szereg głęboko przemyślanych i głęboko odczutyh poglądów, mądrych rad życiowych, które, zda się niepodobnem, aby mogły powstać w duszy tak młodej, pozornie ubogiej w doświadczenie. Ale doświadczenia i mądrości życiowej nie dają długie lata, spędzone w bezmyślnym trudzie codziennego dnia, lecz dni, nieraz godziny, wytężonej pracy myśli, budowania w sobie człowieka, godziny spędzone w cierpieniu, które, jak rzeźbiarz posąg, wykuwa duszę w kształt linii piękna. To też na „*Myśli*” możemy patrzeć jako na wytwór dojrzały przemyślanej pracy, jak na zbiór spostrzeżeń niezwykle cennych i pełnych prawdy, które dziś jeszcze po latach przeszło siedemdziesięciu nie straciły swego znaczenia. Ale bo też Ziemięcka mocą swej twórczej myśli wzniosła się ponad współczesne poglądy o roli życiowej i zadaniach kobiety, dała nam szereg zasad, które dziś odczytane byłyby dla wielu objawem, zupełnie współczesnych poglądów.

Zasadniczym i podstawowym punktem rozumowania Ziemięckiej jest to, iż kobieta jest przede wszystkim człowiekiem, powinna ona „*pierwej*” uznać się w swoim człowieczeństwie, w godności do niego przywiązanej, wówczas dopiero wolno kształcącym jej duszę pomyśleć o wyłącznym kobiety zawodzie. „*Dotąd*”, pisze autorka, „*uważano*” zawsze wychowanie kobiety względnie do jej przeznaczenia, widziano w niej tylko żonę i matkę, nie zaś istotę moralną, żyjącą razem dla siebie i dla drugich, odpowiedzialną przed Bogiem za swoje postęпки. Ziemięcka *pierwsza* umiała wnieść się ponad dotychczasowy punkt widzenia zażądać dla kobiet prawa „*uznania*” się w swem człowieczeństwie, niezależnienia racji ich istnienia od przypadkowych, bądź co bądź, form życia, jednym słowem uważania kobiety nie za dopełnienie męzczyzny, lecz za jednostkę samą w sobie. Mając za powołanie kobiety stanowisko żony i matki, żąda ona jednak przyznania mu tego najbardziej podstawowego prawa rozwijania i doskonalenia własnej duszy, prawa, które jest zarazem *najpierwszym* obowiązkiem człowieka. Według określenia autorki obowiązek ten polega na „*religijnem, głębokim*” pojęciu zamiarów Boga w naszym stworzeniu.

Jakże daleko odbiegła Ziemięcka od utylitarnych poglądów Hoffmanowej, poglądów, będących zresztą wiernem odbiciem opinii ówczesnych! Tam wszelkie doskonalenie się umysłowe ma być tylko „*ozdobą*” umysłu” kobiety, ozdobą postawioną niemal na równi z talentami, pięknym strojem, powabną powierzchownością, tu staje się wyrazem *najgłębszej* potrzeby duszy, odpowiadającej jej ludzkiej godności.

Drugim punktem wyjścia w rozumowaniu Ziemięckiej jest fakt, iż kobieta XIX w. nie odbiera wychowania odpowiedniego przeznaczeniu; skutek tego jest nieszczęśliwą. Dlatego też [poddając szczegółowej krytyce stan wychowania kobiet zaznacza, iż celem przedstawionych reform, jest uczynienie kobiety doskonalszą, a więc szczęśliwszą.

Przystąpimy do zobrazowania poglądów Ziemięckiej. We *wstępie*, usiłując uzasadnić potrzebę głębszego zastanowienia się nad wychowaniem kobiet, Ziemięcka charakteryzuje stan współczesnej ludzkości, w której dociekania rozumowe zerwały węzeł braterstwa i wzajemnej pomocy wśród ludzi, wysuszyły serca, usunęły ze stosunków ludzkich prawdziwie chrześcijańską miłość. Jedyny ratunek, możliwość odrodzenia, leży w rękach kobiety „*ona*” będzie apostołem moralnego odrodzenia”, pisze Ziemięcka „*rozwiniecie*” jej poetycznej istoty, prawe i właściwie, zniszczy egoizm panujący w społeczeństwie”.

W pierwszej części dziełka „*o moralnem wychowaniu*” daje autorka charakterystykę kobiety, kreśli typ dawnej niewiasty w Polsce, i przedstawia obraz współczesnego wychowania. Druga część „*Myśli*” poświęcona jest szczegółowemu omówieniu wychowania umysłowego, w trzeciej rozpatruje stosunek kobiety do życia, kształcący wpływ doświadczenia życiowego, wreszcie jak gdyby występując we własnej obronie, uzasadnia prawa kobiety do działalności autorskiej.

Charakterystyczną cechą ducha kobiety [jest przewaga uczucia nad rozumem, z niej to wypływają wszystkie jej słabości i przymioty „*kobieta*” wszędzie jest prętką rzeczywistego życia, wieczną żebraczką miłości; w stosunku do sztuki, poezji jest raczej bierną, jako twórca wyraża wyłącznie charakter liryczny, osobisty. „*W*” życiu praktycznym pojmuje najprędzej stosunki towarzyskie, odcienia charakterów. „*W*” stosunku do życia i jego zagadnień jej bogata uczuciowość nie hamowana rozważą, a wzmaga jeszcze przez bujną wyobraźnię, jest źródłem wiecznych złudzeń, gorzkich nieraz zawodów, prowadzących do gwałtownych wybuchów rozpacz, przetworzenia uczucia miłości i zachwyty w źródło goryczy, nawet nienawiści. Lecz ta bogata uczuciowość zbliża kobietę [do przyjmowania intuicyjnie najgłębszych prawd życia, wewnętrznej i religijnej wiedzy duszy; kobieta pielęgnuje w sobie ideał dobra i życia moralnego a nie mogąc znaleźć w życiu odbicia tych nadziemskich pierwiastków, w marzeniu dąży do świata nadmysłowego, w świecie poezji i religii pragnie zaspokoić potrzebę duszy — „*uczucie*” i zawsze uczucie, to jej jedyne prawo, jej zguba, jej zaślepienie, jej chwała, jej urok”.

Samo uczucie [nie może wystarczyć istocie, przeznaczonej żyć w świecie rzeczywistym, głęboko rozwinięta uczuciowość, wsparta na oświeconym rozumie może je-

dyne doprowadzić do sprawiedliwej, nie jednostronnej oceny życia i jego zagadnień, pozwoli wyrobić w kobiecie prawdziwą mądrość chrześcijańską, pełen miłości i połączania stosunek do świata. Główna trudność polega na tem, „*aby*” uprawa rozumowa tu raczej charakter moralnej siły, jak uczoności raczej nieugiętości zasad, prawości rozsądku nie zaś zarozumiałej wiedzy”.

Zaznaczając dalej, iż dotychczasowe wychowanie kobiet, pomimo pozorów uprawy rozumowej opierało się wyłącznie na kształceniu uczucia, autorka wyraża zdanie, które i dziś jeszcze rzuca światło na cały szereg nieporozumień i spornych punktów w sprawie kobiecej „*religja*” chrześcijańska”, mówi Ziemięcka, „*wróciła*” kobiecie wydarte prawa, lecz wolność nędznym jest darem, kiedy do niej nie dołączono właściwego wychowania”.

W dalszym ciągu swej pracy Ziemięcka kreśli wizerunek dawnej kobiety polskiej istoty bogobojnej i skromnej, zrównoważonej i cichej pracownicy, poddającej swe najgłębsze uczucia i marzenia o szczęściu osobistemu przepisom władzy rodzicielskiej, wymaganiom powinności. Autorka, przedstawiając z głębokim umiłowaniem obraz tych prawdziwie chrześcijańskich niewiast, przyznaje z pewnym smutkiem, że obecne warunki nie pozwalają stawiać przed sobą takiego ideału. Wzrost ogólnego oświecenia, odmienne, obyczaje, inne dziś stawiają wymagania kobietom. Lecz są pewne wartości moralne, pewne rysy chrześcijańskiej cnoty, pracowitości i zamiłowania rodziny, które winny stać się podstawą dzisiejszego wychowania kobiety i w ten sposób uratować zachwiane życie rodzinne. „*Życie*” rodzinne”, mówi tu autorka, „*nie*” ma dziś ogólnej cechy, są jeszcze indywidua cnotliwe, lecz niema familji, którąby jeden duch bogobojności ogarniał”.

Przechodząc do ogólnego obrazu współczesnego wychowania kobiet, Ziemięcka raz jeszcze stwierdza iż kobiety dzisiejsze, pozbawione religijności i prostoty obyczajowe swych prababek, natomiast „*zbogacone*” błahą i powierzchowną nauką, talentami, które ich tkliwość żywią”, wykształcone dla pozorów i oklasków, stały się istotnie słabymi i nieszczęśliwymi. Nieprzygotowana do życia, podlega tylko swym namiętnościom, niezdolna myśleć gruntownie i zastanawiać się nad zagadnieniami moralnymi, kobieta XIX w. jest zawsze igraszką na fali przypadku, wszelkie nowe teorie, strawienie nieraz myśli, które poznaje, przypawiają ją o powierzchowny, bo nie poparły wywnętrzną pracą myśli, zapał i zachwyty; stąd niemożność zapanowania nad ciężkimi nieraz warunkami życia, a w wyniku tego obojętność i zniechęcenie, lub też ślepe oddanie się uczuciom namiętnym, egoistycznym.

(d. c. n.).

Dr. ZDZISŁAW GORECKI.

O przemianie materji.

Na ogromnej przestrzeni kuli ziemskiej, w głębinach morskich, na krańcach atmosfery, w głąbie, po której chodzimy — wszędzie napotykamy istoty żywe. Jedyne wiecznie zmarzłe lodowce biegunów i spalone słońcem bezwodne piaski pustyni pozabawione są stworzeń żywych. Umysł ludzki do poznania prawdy dążąc, rozstrzygając problemy życia i śmierci, od wieków podpatrując przyrodę otaczającą go od wieków — starał się wydrzeć tajemnicę bytu. Arystoteles (384—322 przed Chr.) uczeń Platona zostawia nam podział świata zwierzęcego, świadczący o znacznych już domysłach w tej dziedzinie, przed nim jeszcze Hipokrates z Kos (470—337 przed Chr.), Heraklit z Efezu (500 pr. Chryst.), Anaxogoras z Klazomene i inni oddawali się studjom przyrodniczym, sekcjonując zwierzęta.

Król Ptolemeus I zakłada szkołę w Aleksandrii w r. 320 przed Chr. uczy w niej między innymi Herophilos z Chalcedun i Erasistratos z Keos, o których powiada Celsus, że za poparciem króla przeprowadzali swe badania anatomiczne na żyjących i straconych zлочыńcach. Z aleksandrowskiej szkoły wychodzi znany lekarz starożytności Claudius Galenus (131 — 201 po Chr.). Po nim powoli upadają nauki przyrodnicze i medycyna wraz z upadkiem kultury świata starożytnego. Arabowie podnoszą sztukę leczenia, ale pozbawieni przez przepisy Koranu możliwości badań anatomicznych, wprowadzają do niej zamiast podstaw ściśle naukowych — mistycyzm. Dopiero we Włoszech i Francji w 14 wieku powracają lekarze do badań anatomicznych np. Raimondo de Luzzi profesor anatomji w Bolognie. Po nim szybko rozwijają się nauki przyrodnicze a zwłaszcza anatomiczne. Wynalezienie mikroskopu odkrywa nowe światy i tajemnice. Pierwszym, który poznał budowę roślin i stwierdził, że składają się one z pojedynczych elementów był Anglik Robert Hooke. Elementa te [nazwał komórkami w r. 1665.

Późniejsze badania wyjawiają wiele tajemnic budowy komórki i rozmnażania się jaj, czem kładą podwaliny nowoczesnego pojmowania budowy organów zwierzęcych.

Skoro weźmiemy kroplę wody z jeziora jakiegoś lub stawu i przypatrzemy się jej pod mikroskopem nie ujdą naszej uwadze twory poruszające się wolno lub szybko i zmieniają swój kształt zwykle owalny lub okrągły na kańczasty i wysuwające małe wypustki, jak gdyby macki ślimaka.

Tworami tymi będą żyjątka zwane pierwotnikami, [z tego powodu, że posiadają jedną, jedyną komórkę, spełniającą wszystkie ich życiowe funkcje. Przypatrując się bliżej zobaczymy w komórce tej drobne okrągłe ciało zwane jądrem, resztę komórek określamy mianem pierwoszczy. Wypustkami swemi chwytają pierwotnik drobiny znajdując się wodzie, wchłania je i tym pokarmem utrzymuje się przy życiu.

Po pewnym czasie jądro komórki dzieli się, pierwoszcza przeważa się, w końcu odrywa i oto powstają duże podobne sobie komórki, które oddalają się od siebie prowadząc oddzielne, swoje własne życie.

Mała ta komórka, wyżej opisana, za ledwie pod mikroskopem widzialna, to prototyp człowieka, najbardziej skomplikowanej istoty na ziemi. Między tymi krańcami istnieje długi szereg istot mniej skomplikowanych. U pierwotniaków jedna komórka spełnia wszystkie jego funkcje życiowe; pozostaje na duże komórki stwarza już dwa osobniki odmienne.

O stopień wyżej widzimy np., że stulbia, której ciało składa się już z wielu komórek podzielona na dwie części odtwarza każda część brakującą resztę i pomnożywszy liczbę swych komórek przedstawia dwa osobniki. U jeszcze wyżej stojących istot widzimy, że powstaje nowy osobnik z połączenia się dwu komórek wytworzonych przez organizm matczyny i ojczysty. Obie te komórki łączą się w jedną, która posiada zdolność mnożenia się przez dzielenie. I tak powstają dwie komórki, później cztery, ośm, szesnaście i t. d. Z początku widzimy kulę złożoną z tych komórek, następnie przyjmuje ona postać wydłużoną; przy dalszym rozwoju komórki zewnętrznem nowego osobnika przybierają nieco odmienną formę od komórek położonych wewnątrz. Komórki mnożąc się wytwarzają wewnątrz nowego osobnika jamę, z której później powstanie przewód pokarmowy. Na stronie grzbietnej wytwarza się błonka, czyli nagromadzenie się komórek, z których przesłania system nerwowy środkowy t. j. mózg i rdzeń. W dalszym rozwoju, który jest nadal ciąglem mnożeniem się komórek, tworzą się w młodym osobniku, zwanym w tym okresie zarodkiem, coraz to nowe nagromadzenia się komórek. Każda z tych grup składa się z komórek takich samych, zupełnie sobie podobnych — oto zaczątki poszczególnych organów. Komórki mające utworzyć poszczególny organ odróżniają się coraz bardziej od zaczątku innego organu, zarówno formą i właściwościami poszczególnych komórek jak i całej grupy. Jedne przyjmują coraz więcej wapnia i twardnieją — to przyszły kościec nowego osobnika, inne przybierają coraz bardziej cechy charakteryzujące przeciw pokarmowe, skórę lub narząd krążenia krwi.

W wyżej opisany sposób powstaje nowy osobnik *Amphioxus lanceolatus* najniższy stojący kręgowiec opisany przez Kowalewskiego z Petersburga w r. 1867. Budowa dojrzałego osobnika tego kręgowca przedstawia się bardzo niezłożenie wobec kręgowców wyższych; np. przewód pokarmowy posiada on w kształcie powstałej rury. U wyższych kręgowców różniczkowanie się komórek, a więc rozwój poszczególnych grup komórek, tworzących przyszły narząd czyli organ, idzie dalej, nie jako specjalizuje się do swego przyszłego zadania.

I — rzecz ciekawa, człowiek, najwyższy kręgowiec, istota posiadająca rozum tak rozwinięty, przechodzi w rozwoju swym

ten sam szereg okresów. Powstała z połączenia komórek matki i ojca, nowa komórka, nieznanym sposobem, tak tajemniczym, zyskuje siłę życiową; rozmnaża się dzieląc się wciąż w łonie matki; tworząc zaczątki organów przyszłych sama z siebie; przyswajając sobie jedynie soki odżywcze, dostarczane krwią swej stworzycielki. I tak przechodzi zarodek ludzki wszystkie studia rozwoju życia płodowego aż rozwiną się wszystkie jego narządy i przygotują do spełnienia swego zadania. Bezradne nowonarodzone dziecko nie umie jeszcze znaleźć samemu sobie pożywienia, ale ssąc mleko matki umie je już przygotować, jako materiał służący do przemiany materji całego swego organizmu w sposób, który niebawem opiszemy.

Widzieliśmy u pierwotniaka, jak wysuwając swe wypustki chwytają drobiny z wody otaczającej go i tem podtrzymuje swój byt, tak każda komórka każdej istoty żywej, mniej lub więcej złożonej musi przyjmować pewne substancje sobie właściwe by utrzymać swą egzystencję. W przeciwnym razie traci możliwość swych czynności, jej skład chemiczny przechodzi granice wyznaczone przez naturę-stwórcę dla istot żywych: komórka zamiera, rozpada się i staje się jeno ciałem chemicznym podlegającym pracom natury martwej.

Jakież właściwości chemiczne są cechą komórki? Odpowiemy: w żywych komórkach tworzą się ciała białkowe, jakich nie znajdujemy wśród natury martwej. A więc nienowe, nieznanie nigdzie w świecie pierwiastki, ale jeno połączenie tych pierwiastków, połączenia bardzo luźne i kruche, które są podkładem, na jakim odgrywają się wszystkie przejawy życia. Tą zdolność komórki w kierunku tworzenia skomplikowanych ciał białkowych z pierwiastków i połączeń prostych zwiemy asymilacją, przyswajaniem. Naodwrot ciała te mogą się też i rozpadać na elementa proste, którą to proces uważany dyssymilacją rozpadem, przy tym procesie. Jak przy tym procesie, jak przy każdym rozpadzie wyswabada się pewna ilość energii, dająca źródło innym przejawom życia komórki, organu lub indywiduum.

Cały proces przyswajania, asymilacji i rozpadu, dyssymilacji zwiemy po prostu przemianą materji istot żywych.

Tak analizując życie komórki nie znajdziemy wielkiej różnicy między światem zwierzęcym, a światem roślinnym. Jedyne forma zewnętrzna, brak ruchliwości roślin wywołują pozór, jakoby tworzyły dwa światy krańcowo odrębne. Podstawą ich budowy jest komórka tak u zwierząt, jak i u roślin. Przemiana materji jest tak u jednych, jak i drugich podstawą egzystencji, podstawą życia. Różnice są nie jakościowe, ale ilościowe. U zwierząt przeważa zdolność rozpadu, dyssymilacji ciała bardziej złożonych na prostsze, — u roślin natomiast przyswajanie, asymilacji.

Komórka roślinna posiada zdolność budowanie właściwego sobie białka z połączeń tak prostych, jak woda, tlen i nieorganiczne sole kwasu azotowego. (d. c. n.)

Prof. T. ZIELIŃSKI.

ORESTEJA AJSCHYLOSA.

Idea usprawiedliwienia moralnego.

Jej geneza i rozwój.

(CIAĞ DALSZY).

Przedewszystkiem, w przeciwieństwie do tradycji homerowskiej, stworzono ową *Oresteję delficką*, o której mówiliśmy wyżej; główny jej cel, jak widzieliśmy był celem moralno-religijnym, nietrudno było wszakże, jednocześnie uczynić przytem za- dość także wymogom politycznym chwili, co też uskuteczniło: wbrew Homerowi, nie Argos i nie Myceny, lecz spartańskie Amikle uznano za stolicę Agamemnona. Właśnie Amikle bardzo się do celu tego nadawały; było to miasto niezmiernie starożytne, zawierające starodawne grobowce z epoki heroicznej, które mogły się przydać. Jednako- woż Delfy działały powoli, stopniowo. W Amiklach święcono starożytny kult bogini Aleksandry; Aleksandrę tę utożsamiono z wróżką Kassadrą, która zabita była jedno- cześnie z Agamemnonem. Spartański kult Zeusa Agamemnona, biorący początek z kosmogonicznej jeszcze formy zenitu, również wyświadczyć musiał tutaj pewną usługę, aczkolwiek o tem żadnej ścisłej nie mamy wiadomości. Wszystko to było dobre, ale było niedostateczne: wszak boska laska Aga- memnona, na mocy prawa, przeszła do Ore- stesa, który był ostatnim przedstawicielem hegemonji helleńskiej; cóż się stało z Ore- stesem? Słabość Argosu polegała właśnie na tem, że na pytanie żadnej odpowiedzi dać nie umiał; Sparta zaś, przy Delfów po- mocy, odpowiedź dała. Widzieliśmy, że w tradycji delfickiej Orestes, jako przedsta- wiciel delfickiej idei usprawiedliwienia, grał rolę przodownika; jego rozgrzeszył Appollo — na czem zaś rozgrzeszenie polegało? Wie- dzieć to mogły tylko Delfy, i Delfy to wie- działy. Appollo rozkazał mu przywieźć z ziemi Tauryckiej posąg swej siostry boskiej, Arte- midy. Teraz sprawa przedstawiała się nader prosto i gdzie był ów posąg, tam i Orestes spędził resztę swoich dni. Gdzie zaś był ów posąg? Grecja miała kilka niezmiernie starożytnych posągów tej bogini; który z nich pochodził z Taurydy? Rozstrzygnąć to pyta- nie mogły tylko Delfy, jako najwyższa w spra- wach duchownych powaga, a rozstrzygnęły je na korzyść Sparty. Posąg stojący w Spar- cie, ogłoszono, jako ten, który ongi przywie- ziony był przez Orestesa. Ku potwierdzeniu tej nowej rewolucji puszczone w obieg po- bożną legendę. Posąg ów, wieściły Delfy, zapomniany został podczas zamętu powszech- nego, jaki nastąpił po wędrowce plemion, lecz oto (w wieku IX) ktoś, imieniem Astrabakos wraz z bratem swym posąg ów odna- leźli i, dotknawszy się doń niebacznie stra- cili zmysły; ustanówcież więc kult ku czci „bohatera“ Astrabakosa! Kult ustanowiono, autentyczność zaś posągu spartańskiego zo- stała w ten sposób wobec ludu całego po- świadczone. Orestes przywiózł posąg Arte- midy Tauryckiej do Sparty — a więc kró-

lował w Sparcie; miłośnicy Homera mogli zbudować złoty dla się most w postaci przy- puszczenia, że poślubił on tutaj córkę króla Menelausa. Teraz brakło tylko jednego, naj- ważniejszego — brakło samego Orestesa.

Gdzie spoczywały prochy ostatniego przedstawiciela hegemonji wszechhelleńskiej? Wiedzieć to i wskazać mógł tylko Appollo, który wiedział wszystko; zwlekał on długo, nakoniec jednak, w wieku VI zdecydował się zwierzyć Sparcie tę wielką tajemnicę: wedle wskazówek Delf, odbyło się „przeniesienie zwłok“ Orestesa do Sparty, o którym to prze- niesieniu opowieść, uwagi godna nietylko ze względu na swą naiwność, zachowała się u Herodota.

W taki to sposób Delfy i zostająca pod ich opieką Sparta kroczyły w dalszym ciągu po równi pochyłej, na której pierwszym po- sunięciem była zamiana Mycen na Amikle w Orestei delfickiej; wieczne interesy wiary i moralności coraz mocniej i mocniej sku- wano z przemijającymi interesami polityki. Oresteja delficka po całej obniosła się Hel- ladzie, znajdując wszędy rozpowszechniciele w osobie naczelnich poetów wieku VI, Ste- sichora, Simonidesa, Pindara, nie mówiąc już o artystach plastykach; Sparta miała w swym ręku oba wszechhelleńskiej hegemonji palla- dja, posąg Artemidy Tauryckiej i szczątki Orestesa, — cóż wskórać mogła przeciw świa- dectwom tak ważkim wymowa świeckich pieśniarzy, wysławiających Argos Myceny! I oto święte prawo Sparty, jako prawowitej dziedziczki Agamemnona i Orestesa staje się dogmatem w Helladzie; gdy pod grozą na- jazdu perskiego, król Syrakuz Helon za waru- nek pomocy, o którą go proszono, postawił żądanie, aby obrano go naczelnikiem wojsk greckich, — poseł spartański odpowiedział dumnie: „Jęknąłby Agamemnon Pelopida, dowiedziawszy się, że Spartanie pozwolili odebrać sobie hegemonję Helonowi i Syraku- zańczykom!“ Tak mocno było ugruntowane święte prawo Sparty.

Wraz ze Spartą tryumfowały Delfy; ich hegemonja duchowna w Helladzie była przez wszystkich uznawana; cowiecej: w charak- terze naczelnego ośrodka kierowniczego kolo- nizacji greckiej, rządziły one w znacznej mierze polityką zewnętrzną Grecji. Jedno było niedobre, i kapłani delficy, — gdy się zważy ich mądrość polityczną — nie mogli, bodaj, mylić się co do tego: przekazawszy Sparcie Orestesa, Delfy związały się z nią na wieki i utraciły możność, na wypadek, gdyby ten miecz ich się stępił, sięgnięcia po inny.

VII.

Przytępił się on w początku wieku V, w epoce pogromu perskiego, gdy Sparta przy- muszona była hegemonją swą podzielić się z państwem nowem i niepokaznem dotych- czas — Atenami. Snadnie było wyobrazić sobie, że ów podział był tylko środkiem tym- czasowym, że Ateny dumne poczuciem swoich zasług, swoich sił fizycznych oraz umysłowych, dążyć będą ku temu, aby całe boskie sceptum Agamemnona przeszło w ich ręce.

Przy takim stanie rzeczy stosunek Aten do Delf nie mógł być przyjazny: do antago-

nizmu moralnego, o którym będzie mowa w rozdziale następnym, dołączył się antago- nizm polityczny.

Rola Aten pod tym względem przypo- mina bardzo rolę Wenecji na schyłku wieków średnich. Jak wiadomo, Wenecja we wszyst- kiem, co dotyczyło religji, była wierną córą kościoła katolickiego, — nigdzie bodaj nie było takiej obfitości i takiego bogactwa świą- tyń, takiej głębokiej i skrupulatnej pobożno- ści, jak w mieście św. Marka; nie przeszkad- zało to wszakże Wenecji najzapalczywszą być przeciwniczką rozszerzenia władzy świec- kiej papieży.

Nie inaczej też i Ateny „pełne bojaźni bożej“ jak je nazywano, zachowywały się wobec świętej góry Apollina. Nigdzie nie było tyle gmachów, poświęconych bogom, nigdzie świąt tak nie obchodzono, jak w mieście Pallady; niedość tego; nigdzie bodaj tak często w sprawach religijnych nie zwracano się do boga delfickiego, którego nowa świątynia stanęła głównie kosztem Ateńczyków. Wszystko to jednak bynaj- mniej nie przeszkadzało Atenom w sprawach politycznych występować przeciw interesom Delf. Nic nie oświeśla lepiej tej dwoistości położenia, niż pomysły dla Aten wynik „wojny świętej“ wieku V: wynik ów, z jednej strony, zniweczył władzę świecką Delf, t. j. niezależność terytorjum ich od otaczającego je państwa Fokidy, — z drugiej strony, dla posłów ateńskich zastrzegł prawo pierwszeń- stwa wstępu do wyroczni delfickiej!

Niema potrzeby dodawać, że w dążeniu swem do hegemonji Ateny nie mogły liczyć na poparcie Delf; a jednak było rzeczą pożą- daną dążenia te uprawnić przez nawiązanie łączności między starodawną hegemonją Atry- dów a nową, o której marzyły Ateny. Było rzeczą pożądaną, tak, ale nie więcej; czas robił swoje, i mitologja polityczna zaczynała tracić na znaczeniu. Jednakowoż, pewne w tym kierunku kroki zrobiono, jakkolwiek, o ile sądzić możemy, nie zrobiło ich pań- stwo. W najbliższem sąsiedztwie Sparty wciąż stał jeszcze upokorzony przez nią kró- lewski Argos, opromieniony chwałą swoich wielkich wspomnień; i oto powstaje myśl, aby ściślej związać go z Atenami. Pierwszym człowiekiem, w którego głowie myśl ta za- świtała, był jednocześnie pierwszym z Ateń- czyków, który zamierzył urzeczywistnić ideę hegemonji ateńskiej — tyran Peisistratos; mając już władzę w ręku, poślubił on argi- wiankę i synowi, którego wydała na świat dał dumne imię „naczelnika wojska“ (*Hegesistrates*), wskrzeszając tem pamięć o heroicz- nym wodzu wojska greckiego, Agame- mnonie; że zaś orgiwianka owa z królew- skiego pochodziła rodu, widać stąd, że wskutek tego małżeństwa Argiwi stali się sprzymie- rzeńcami Ateńczyków. Tradycja homerowska, wprawdzie legitymująca prawa Argosu, wy- parta została przez tradycję delficką; tembar- dziej atoli pragnąć musiał Peisistrates przy- wrócić pierwszą utraconą powagę. Znane są jego usiłowania, zmierzające do oczyszczenia i rozpowszechnienia poematów homerowskich; wzamian za swe usiłowania mógł on żądać, aby ślepy pieśniarz świadectwem swem potwier- dził niektóre, miłe dla Aten, wierzenia. (d.c.n.)

M. H. SZPYRKÓWNA.

GWIAZDY i DOLARY.

3)

Oczywiście nie ta z grzebieniem, od Heinego, tylko taka która ma paszczę ze stali i która wyje tak żałośnie, złowróźnie i ponuro, jak szatan u grobu swego niemowlęcia. A skoro się zdarzy, że z przeciwnika płynie drugi taki gość i ryczy na własną rękę, to moce piekielne się bardzo cieszą, bo myślą, że tam powstała jaka mała filja prawdziwego autentycznego piekła. Człowiek leży w swojej kabinie na pryczy, patrząc w górę na drugą pryczę, słucha tych bestji apokaliptycznych i powtarza sobie pocichu dla pamięci, co najpierw należy czynić na wypadek zatonięcia statku. Na ścianie kabiny wisi zresztą instrukcja drukowana na ten wypadek, szczególnie dla ludzi trzeźwych bardzo dodatni, ale który nerwowym osobom sprawia dużo prawdziwej przykrości. Jeżeli jednak cierpi na morską chorobę, to martwi się dużo mniej, bo uważa, że zatonięcie statku byłoby właściwie nieznanym jedynie i raczej ubocznym dodatkiem do mak, które przeżywa. Jest to jednak rzecz tak udzielająca się od samego widoku, a nawet barwnego opowiadania, że raczej spuścimy zasłonę na ten szczegół podróży, zwłaszcza, że w chwili właściwej jeszcze się uwypukli sam przez się.

Podróż od Gdańska do Anglii upływa względnie szybko, gdyż właściwie jakieś brzegi wciąż są tu, to tam. Przechodzimy u wybrzeży Skandynawii. Ponuro, mgliście i malowniczo. Moc nagich, poszarpanych skał, fiordów i wybrzeży, stadka malutkich wysepek, rozsiane na wodzie razem, to znów osobna, jak kamyczki, pogubione w ucieczce przez psotnego olbrzyma. Nad tem szare niebo, dokoła tego szare morze, na tem szare skały i trochę zieleni. I mewy. Masy, chmury, wyraje mew, krążą, wlatują i opadają, witają i ścielą się piersią na fale, aby za chwilę wypłynąć znów i unieść się wysoko pod niebo, świecąc bielą na szarem tle. Powietrze, ciepłe i szare, drży kwileniem mew; żalosnym i dzikiem na wielkiem szarem pustkowiu. Lecą czas jakiś za statkiem, krążą, gdy przystajemy aby zabrać pasażerów, którzy na nasz statek czekają, i lecą znowu, gdy ruszamy precz. Mijamy wysepki i skały, mijamy brzegi, mijamy jakiś ostatni skrawek zieleni. Już tylko morze, ciepło i mgła, a zrzadka mewy. Jeszcze coś szarzej przed nami. To—wysepka. Długi i tak wąski szmerek kamieni, że wygląda jak grzbiet wieloryba sterczący z wody. Nie jest jednak tak mały, bo na jego najwyższym wydmuchu barwi się jasno-zielony domek. Tu mieszka jakiś latarnik, czy strażnik, który już jest odcięty od lądu zupełnie. On jeździ, czy jemu przywożą? Dość, że żyje. Żyje nietylko on: u stóp wysepki, tuż przy wodzie, stoi młodzianka dziewczyna. Ma jasne warkocze, a ręce zaplotła na fartuszkę i patrzy za nami. O czym myśli i czegoby chciała? W pośród tych szarych skał wykwiła nagle i ślicznie, jak smutny dzwonek liljo-

wy. Co myśli i czego pragnąć może taka dziewczyna o jasnych warkoczach, uwięziona małym skrawku wśród morza, patrząc na tych, którzy mijają? I my ją mijamy, a ona zostaje—wraz ze swemi złotymi warkoczami.

Ile takich statków minęło już przed jej oczyma, idąc w daleki świat?

Wzbogacamy się w nowych pasażerów. To Skandynawczycy. Może szwedzi, może nie szwedzi. Obserwujemy ich, jak wchodzi z małego stateczku, jakim dopłynęli od brzegu, na nasz statek. Stateczek wygląda tak śmiesznie i nieparadnie, i grzebie się ku nam po wodzie tak koszlawo, że czujemy pobłażliwe politowanie. Ktoś go nazywa szczeniakiem, i spotyka radosną aprobatę. Uważamy nawet że wrzucony do wody szczeniak zupełnie tak samotny sapał i grzebał łapami jak to. Szczeniak wyładowuje skandynawów, sapie, wyteża się, straszenie się męczy i wreszcie zawraca, skąd przyszedł. Pewno mu się zdaje, że objechał o mało że nie cały Boży świat.

Skandynawi wchodzi na pokład po sznurkowej drabince i wcale się nie przewracają. Są grubi, białowłosi, różowi i ogółem podobni do ryb, prawdopodobnie dlatego że mają wypukłe oczy, zresztą bardzo dobrodusze i niebieskie. Wysłamy się nadaremno dotrzeć, kimby być mogli? Decydujemy, że czemś średnim między kręcicielami sznurów a handlarzami suszonych ryb. To też czujemy się prawdziwie dotknięci, gdy znajdujemy się przy stole tuż tuż naprzeciwko białogłowych istot i wytrzeszczonych oczu. Oczy się śmieją, a istoty rzucają się na potrawy i zjadają ogromne ilości ryb. Śmieją się wszyscy, razem obstalowują te same dania i stanowią zwarty klan. Domyślamy się, że jest to widocznie zerganizowany klub kręcicieli sznurów, nie zaś luźne indywidua krainy. Zazdrościmy im w duchu angielszczyzny, którą władają w obrzydliwie biegły sposób zachowując się tak, jakgdyby wogóle byli w domu. Zjadamy ponuro nasze sosy (ludzie nie posiadający języka zawsze mają szczęście wybrać z całego menu same sosy, stary ale smutny kawał)—i buntujemy się w duchu, że obdzieracze wydr jeżdżą także pierwszą klasą. Trochę nas buja, więc polecamy dusze władzom niebieskim, i zaczynamy się naradzać nad środkami przeciwko wiadomemu niedomaganiu. To nas odrywa od myśli o ryboludach i rozchodzimy się spać dosyć wcześnie. Mijając pokład widzimy, jak trzech rybojadów stoi sznurem, zgiąwszy się w kablak, zaś czwarty skacze im, rozpędziwszy się z daleka, przez głowy, przeskakuje pomysłnie dwóch; trzeciemu zaś trafia nogą w szelkę i z hałasem leci na pokład jak długi, poczem się wszyscy ogromnie śmieją. Wiadomem jest, że śmiać się w sposób niewinny potrafią tylko ludzie o czystym sercu i dobrem trawieniu, i to nas ogromnie co do

ich moralności uspokaja, zwłaszcza że nas wraz z moralnością, nie obchodzą nic. Morze jest niespokojne i fala zalewa jedną stronę pokładu, na której ku cichemu przerażeniu pasażerów, majtkowie rozciągają sznurowe poręcze. Buja.

W dzień zawsze jest różniej. Wokoło jest już tylko woda, a nadto świeci słońce, chociaż jest zimno. Rybojady wyległy na pokład i przyglądają się nam dobrodusznie i wylupiasto. Jeden stoi na wysokim progu drzwi, dwóch za nim. Kiedy przechodzimy, kłaniają się, chrząkają i zdradzają zadowolenie, niewspółmierne z faktem. Następnie ci, którzy stoją z tyłu, trącają tego który stoi na progu, potrącony potężnym gibnięciem się w tył ratuje równowagę, i ogromnie się cieszą. Ofiarujemy to Panu Bogu i patrzymy w przestrzeń z pogardą, którejby pozazdrościła Lady Macbeth w najbardziej pogardliwej ze swoich scen. Ryby są niezrażone i bawią się dalej równie niewymyślnymi środkami z godną zazdrości pogodą.

Irlandja. Nowa dystrakcja: do statku podpływają szczeniaki, przywożą pasażerów. Ładują towary i t. d. Wraz z towarami ładują się na pokład grube irlandki i sprzedają irlandzkie koronki. Irlandki są ładne, koronki są brzydkie, i możnaby w Warszawie równie dobrze kupić takie same za Żelazną bramą: jakieś marynarskie kołnierzyki, chusteczki balowe dla młodego hipopotama, serweteczki niewiadomego przeznaczenia i inne smakołyki klockowe. Kupujemy jednak, no bo jakże? Albo się jedzie okrętem, albo nie. W końcu Irlandki i koronki znikają, szczenięta zabierają się z powrotem, gwizdzą i jedziemy.

Przejeżdżamy blisko Irlandji i Anglii. Brzegi są urocze. Morze zieloności! Przytem świeży, śliczny, żywy kolor. Jakies czystutkie domki w ogrodach, jakieś parki, jakieś łączki na których się bawią dzieci... Wygląda, że w tym kraju wszystko musi być czyste, dostatnie, uporządkowane. Słońce oświeca drzewa takim złotym, łagodnym blaskiem. Nagła tęsknota do ziemi, poryw, aby choć na godzinę zejść z drewna pokładu i aby czuć pod stopami ziemię, żywą ziemię! Rzucić się na trawę, wejść w las... Na tej farmie pod sosnowym daszkiem zaraz będzie mleko—dzwonią wracające do domu wiejską drogą krowy... Niestety! Płyniemy i mijamy. Czegoś tęskno za tym wieczorem wiejskiem—na lądzie. Tu woda. Nieskończona, wielka, ogromna woda przed, za i wokoło.

W Hull ładujemy: tu kres naszej tymczasowej drogi, bo w Anglii zmieniamy nasze szczenię na prawdziwy dorosły okręt. Jesteśmy strasznie ciekawi Anglii i zwłaszcza angielek. O angiolkach wiemy tyle, że mają długie zęby i że są sufrażystki, z temi też wiadomościami przyjeżdżamy.

(d. c. n.).

WANDA MIŁASZEWSKA.

4.

KSIĘGA UMARŁYCH

IV

— Widzisz — mówił dalej wujaszek, — takie miałeś włoski dawno, dawno temu, nim ci je zaczęto obcinać. Karolina zawsze myślała, że będziesz blondynem... A ten żuczek błyszczący, to pamiątka. Przyniosłeś mi go kiedyś w podarunku, gdy byłeś bardzo malutki... Siedziałem przy tym samym stole, co teraz, a ty z trudnością wdrapałeś mi się na kolana. Stół był wyższy od od ciebie... co, Jurku? A ta karteczka, to twoja pierwsza kaligrafia... Karolina uczyła cię abecadła, a ty przerysowywałeś z dużej książki te koślawe litery... Na innych stronach były fotografie twojego rodzeństwa i różne po nich pamiątki... Pamiętasz Helę i Adasia? Tamtych dwojga nie możesz pamiętać, byłeś zanadto malutki, gdy pomarli. Mam również ich włoski na pamiątkę. Ale to wszystko znajduje się w Księdze Umarłych; wszyscy oni, wszyscy przewędrowali do Księgi Umarłych... A na ostatku Karolina...

Urwał, jak zwykle. I ja byłem wzruszony. Nieśmiało, dość niezgrabnie gładziłem ręką, policzki wuja Klemensa, który schylił głowę, jakby przytłoczony ogromem smutnych wspomnień. Podniósłszy na mnie zblakłe oczy, odezwał się cicho:

— Jaka ona była! Jaka ona była... I pomyśleć, że ja, o tyle od niej starszy, przeżyłem ją...

I po chwili znowu:

— Miałaby teraz pięćdziesiąt cztery lata...

Za oknem dało się słyszeć pianie koguta. Wujaszek ocknął się i zawołał zupełnie innym głosem:

— O, musi już być po północy! Tośmy się zasiedzieli! No, fora ze dwora, mój panie! Trzeba jutro zacząć dzień pracowitszy... Także mię opętało! Ale czasami to tak człowieka...

— Wujaszku, więc ja sam jeden zostałem w Księdze Żywych?

Staruszek zawahał się.

— Nie, — odparł, — niezupełnie sam. Jest tam jeszcze Olesia... Kiedyś kazała się sfotografować w miasteczku i podarowała mi jeden egzemplarz. Złote dziewczątko! I listów od niej mam kilka, a jakże! Na Nowy Rok i na moje imieniny zawsze mi życzenia przysyła na piśmie, żeby było uroczyście... Zawsze już list czeka na moje przebudzenie. Złote dziewczątko!

Spojrzał na mnie z ukosa i nagle zmrużył oczy:

— Ej, Jurku, czy to nie palec Boży, ta Księga? Zostaliście w niej we dwoje, ot, jakby przeznaczeni dla siebie... Nieraz marzyłem...

Urwał, jakby nie chcąc mi więcej narzucać swych najgorętszych pragnień. I ja nie przedłużałem już rozmowy. Gniewało mię w duchu, że tutaj, poza memi plecami, robiono plany, nie zapytawszy mię nawet o zdanie. Przemknęło mi przez głowę, że pewno gadatliwy wujaszek napomykał coś

pannie Olesi... Ot, mógł pocziwy, zdziwaczały staruszek bąknąć coś mimochodem... A prowincjonalna gąska gotowa naprawdę odprawiać nowennę...

Długo jakoś nie mogłem zasnąć tej nocy. Przed oczyma przesuwały mi się kolejno postacie Olesi, wuja Klemensa, to znowu pani Górskiej, nalegającej usilnie, bym zjadł jeszcze porcję poziomek z cukrem. Odtworzyłem w pamięci scenę powitania z panną Olesią: zarumieniła się, prawda. Ale nic nie było w jej słowach, w jej zachowaniu, coby świadczyło że uważa moją wizytę w Rosiance za coś więcej, niż zwykłą towarzyską formalność.

— Ciekawym, coby powiedział stryj Karol, gdyby zobaczył Olesię? — pomyślałem, już usypiając i zdawało mi się, że widzę dystygowany uśmiech jego i słyszę głos, skandujący moje własne uwagi.

— Panna Olesia jest bardzo miła i... swojska panienka. Tak.

V.

Wyśnił mi się stryj Karol, ponieważ wkrótce otrzymałem od niego list:

„Zmieniłem plan, — pisał na wykwiętym papierze z marką hotelową, — i siedzę od paru tygodni w La Baule (dolna Loara). Nawet na moje nerki Kair o tej porze za gorący. Tutaj — nudno, jak zresztą wszędzie, gdzie zbyt wielu ludzi z jeżdża się dla rozpedzenia nudów... Upał zresztą nie mniejszy chyba jak w Egipcie. Nieznośne to obecne lato! La Baule obfituje we wszystko, oprócz [kawałka] cienia. Na olbrzymiej płachcie piaszczystej skwarzą się przedstawiciele wszelkich narodowości. Na razie (i na szczęście) jestem jedynym reprezentantem polskiej nacji. (Gdybyś przyjechał tutaj, paryżanki miałyby lepsze wyobrażenie o gorszej połowie naszego narodu) „Narazie”, piszę, jestem sam, ale widziałem już listę hotelową i formalnie się przeraziłem. Wszystkie apartamenty z „widokiem na morze”, — zamówione są przez moich kompatriotów. Skóra mi cierpie na myśl, że będę musiał ich poznawać, kłaniać się im na plaży i tytułować przy table d'hocie owem obmierzełem „de”, z ktkrego już się cichaczem śmieją francuzi. A ty—co porabiasz? Nie zbrzydło ci jeszcze kwaśne mleko, ogórki i dziewczanna pod parkanami? Cóż wujaszek? Pewnie cię swata z jaką okoliczną pięknoscia? Strzeż się panien wiejskich, bo wiem ich serca są, jako kadź wina: Niechże raz trafi do niej gorczyczne ziarno miłości — zatruje z pewnością smak wina aż do dna. Pamiętaj, że polki, a w szczególności prowincjonalne polki różnią się zasadniczo od wszystkich kobiet wszystkich innych narodowości tem, że są zrobione, iż się tak wyrażę, z łatwo palnego materiału. Przy pierwszym zdaniu zdawkowego komplementu gotowe spłonąć, jak chochoł słomiany, a na ich ustach dziewczyczych wykłwita, przed wszystkimi innymi, słowo „ołtarz”—jako jedyny do pomyślenia i wykonania zakończenie. Zresztą—niepotrzebnie ci to wszystko zapowiadam, bo jeśli masz zamiar ugrząść na stałe w swej Bożej Woli, w takim razie typ Zosi Tadeu-

szowskiej chlubnie ukoronuje to zacne postanowienie.

Zresztą, mój drogi! Życie tak, czy owak przeżyte, jest zawsze tylko szatą zwierzchnią, zesłaną przez Opatrzność. Można je, przykrawając, pociesnić i skrócić, ale poszerzyć się nie da. Bądź zdrow, drogi chłopcze. Myśl o twym stryju, który zajada langusty, a zatęskniwszy—przyjeźdź. Otwarte czekają cię zawsze ramiona“.

Odpisałem, że w żadne sidła nie wpadłem, ale przyjechać nie mogę, ponieważ bawię się w gospodarstwo, a zabawa ta, dobra, jak każda inna, jeszcze nie zdołała mię znużyć.

Jedno i drugie było prawdą. Drugie o tyle, że sprowadziwszy młodą hunterkę, ujeżdżałem ją na gruntach Bożej Woli, zawiadując nierzadko o Rosiankę. Z początku zawiązałem się ograniczać te wizyty do minimum, aby panience nie przyszło czasem do głowy, iż jej osóbką tak dalece mię ujęła. Ale „panienka” bynajmniej nie zdawała się wyczekiwać jakichś afektów z mej strony. Pełna rankami swoje grządki kwiatowe i doglądała ptasiej gospodarki, którą to gospodarkę dane mi było wreszcie w całości obejrzeć i podziwiać.

Potem zacząłem zajeżdżać częściej, choćby dlatego, że Górcy byli najbliższymi sąsiadami, a hunterka, tresura wyżyła i wieczorne gawędy z wujaszkiem nie mogły mi dnia wypełnić. Panna Olesia nie wypełniała go także, ale polubiłem mocno hoże, proste dziewczątko. Może właśnie za tę prostotę, która mię bawiła i zajmowała, jako zupełna nowość. Z czasem tak się już ułożyło samo, że raz w tygodniu jeździłem do Rosianki z wujaszkiem, w niedzielę po sumie zachodzili do nas Górcy z panną Olesią, a ja wpadałem do nich konno rankami i nierzadko zostawałem na obiedzie, który mi proponowała matka Olesi, nieomieszkać zaznaczyć że: „Naturalnie, w domu czeka na pana lepszy, ale może poświęci pan podniebienie dla przyjaciół”?

Wujaszek, od czasu ostatniej rozmowy, jaknajstaranniej unikał tematu małżeństwa mego, nie tylko z panną Olesią, ale nawet w ogólności. Widocznie staruszek obarczył Opatrzność kłopotaniem się o moje przyszłe losy, myśląc pocichu, że przecież wdzięki Olesi zrobią swoje i że ukochany siostrzeniec przyzna się koniec końcem do gwałtownej porażki w swem sercu...

Stan taki trwał mniej więcej przez miesiąc, to znaczy, do pierwszych dnia lipca. Rozpoczęły się żniwa, bardzo wczesne w tym roku. Pomimowoli wciągnąłem się w to życie wiejskie, które dotychczas uważałem przywykłem za niewłaściwe dla siebie. Kufry uczonych książek przywiezione z zagranicy, poszły na strych, a ja opalony na bronz, doglądałem żeńców. Coraz częściej debatowaliśmy z wujaszkiem nad kwestją nowych ulepszeń w majątku, kupnem rozmaitych maszyn rolniczych i t. p. Coraz też częściej zajeżdżałem do Rosianki, aby posłuchać wywodów panny Olesi o racjonalnej hodowli drobiu i reprimendy, że w Bożej Woli zanadto wszystko zapuszczone.

(d. c. n.)

Muzyka polska

Koncert współczesnej muzyki polskiej: Ludomir Różycki, Karol Szymanowski, Aleksander Tausmann; Wanda Landowska „Poemat życia” Jerzego Witkowskiego.

Dzięki inicjatywie prezesa towarzystwa imienia Szopena p. Ganche'a świat muzyczny Paryża zwraca się od roku z wielkim zainteresowaniem ku współczesnej muzyce polskiej.

Cercle Volney urządza koncert z programem złożonym z dzieł muzyki polskiej: Melcera, Różyckiego, Szymanowskiego. Wykonano poraz pierwszy „La fontaine d'Arethuse” jeden z trzech pięknych nieznanych u nas poematów Szymanowskiego na skrzypce, ze współudziałem znanego skrzypka p. Ludwika Carembat.

6-ego maja odbyła się audycja, urządzona przez „Guide de concert”, poświęcona wyłącznie muzyce polskiej, a 22 maja w teatrze „Vieux Colombier” pod protektoratem „Revue Musicale”, dyr. Henryka Prunier koncert, złożony wyłącznie z dzieł Karola Szymanowskiego ze współudziałem pp. Kochańskiego, Roberta Casadesus i pani Stanisławy Szymańskiej.

Na koncercie w „Salle Touche” wykonano po raz pierwszy trzy szkice na kwartet i fortepian młodego kompozytora polskiego p. Aleksandra Tausmanna, przebywającego stale w Paryżu i cieszącego się wielkim powodzeniem w fachowych muzycznych sferach francuskich.

„Szkice” Tausmanna wywarły głębokie wrażenie i gorąco były oklaskiwane przez licznie zebraną publiczność. Niezależnie od tego, słyszeliśmy siedem „preludes” na fortepian Tausmanna, odznaczające się oryginalną harmoniką i mogące wzbogacić repertuary naszych pianistów.

„Trzy Melodye” nieznanego u nas kompozytora polskiego p. Władysława Rohozińskiego wykonane już w roku zeszłym i powtórzone w sali teatru Charingdny, zjednały sobie w interpretacji p. Janie Bathori, przy akompaniamencie samego autora, zasłużony poklask przez subtelność muzyki, harmonijnie wiążącej się z poezją Beaudelaire'a i pani de Noailles.

Na tymże koncercie świetna gra p. Eustachego Horodyskiego roztoczyła pełnię obrazu muzycznego zawartego w „Fantazji”, „Preludjach” i „Etiudzie” Karola Szymanowskiego.

Świetny zespół instrumentalny: p. Gaston Poulet, M. Bourgoin, I. Pascal, Adele Clement, et N. Erainger wykonał po raz pierwszy w Paryżu kwintet Ludomira Różyckiego. Utwór ten wywarł na licznie zebranych audytorjum wrażenie porywające.

P. Wanda Landowska ze współudziałem p. Marji Barientos dała trzy koncerty w teatrze „Champs d'Elyzées” poświęcone starej muzyce polskiej. W programie „Chorea Polonica de Diomedes cato” (1603), „Volta Polonica”, oraz szereg polskich pieśni: „Chmielu”, „Ballada”, „Mazur” i t. d., świetnie odśpiewanych przez panią Marję Barientos.

W teatrze des „Champs d'Elyzées” wykonano po raz pierwszy poemat symfoniczny Witkowskiego p. t. „Poème de la maison” ze współudziałem chórów i orkiestry z Lyonu, gdzie kompozytor od szeregu lat jest dyrygentem. Poemat ten według dzieła Ludwika Mercier opiewa w pięciu częściach: 1) „Kominiek”; 2) „Stół”; 3) „Drzwi”; 4) „Oni”; 5) „Łoże”, miłość natury i rodziny.

Muzycy polscy występujący z powodzeniem zagranicą: Juljusz Wertheim, bawiący od dłuższego czasu w Berlinie dał się poznać jako dyrygent, jak również i Adam Dołżycki, który wykonał poemat symfoniczny Piotra Rytyla p. t. „Legenda o św. Jerzym”.

Włodzimierz Kenig przestawił się licznie zebranej publiczności w Berlinie, w sali Beethovena, jako dyrygent i kompozytor ze współudziałem pianisty p. Zbigniewa Drzewieckiego, który chociaż świetnie wykonał koncert Brahmsa, jednakże w imię propagandy polskiej winien był zagrać utwór kompozytora polskiego.

Pani Stanisława Szymanowska, znakomita pieśniarka polska wypełniła w Berlinie, w Wiedniu i w Pradze ze współudziałem p. Zbigniewa Drzewieckiego szereg koncertów, poświęconych muzyce polskiej, Szkoda wielka, że pani Szymanowska na koncercie swym w Paryżu miał działać w imię idei muzyki polskiej odstąpiła od swego programu śpiewając

pieśni... Rachmaninowa i Gretschaninowa. Kompozytorzy rosyjscy dość mają interpretatorów w osobach wykonawców rosyjskich, którzy z całym entuzjazmem, oddają swe talenty na usługi twórczości rosyjskiej.

W Sofji w Bułgarii, zupełnie zrozumiałe tryumfy święciła znakomita pieśniarka p. Argasińska i uroczą primabalerina naszej opery p. Halina Szmolcówna.

Ilość i jakość produkcji muzycznych polskich świadczą o wielkiem zainteresowaniu zagranicy nowoczesną twórczością polską. Może fakt ten odbija się echem i w naszym świecie muzycznym, który dotychczas w wprowadzaniu nieznanych dzieł muzycznych polskich dał się ubiegać zagranicy. Istnieje ogromna literatura współczesna muzyczna zupełnie w kraju u nas nieznaną, a wzbudzającą entuzjazm i zainteresowanie zagranicą.

Opera Warszawska w nadchodzącym sezonie zapowiada się bardzo interesująco. Z premier oper polskich zapowiedziane są: „Casanova” opera komiczna Ludomira Różyckiego (libretto Juljana Krzemieńskiego), opiewająca w trzech fantastycznych obrazach (Turcja—Wenecja i Warszawa) przeżycia słynnego awanturnika włoskiego Jean Jacques Casanowy, który na dworze Stanisława Augusta pełnił urząd sekretarza i wślawił się w Polsce słynnym pojedynkiem z hrabią Branickim o piękną włoską tancerkę; „Jakób Lutnisa” Henryka Opieńskiego, „Królewicz” Emila Młynarskiego oraz nowy balet fantastyczny p. t. „Bajka” Ludomira Rogowskiego. Z oper autorów obcych zapowiedziane: „Kawaler z różą” Straussa, „Brylant Matki Boskiej” Massenet, „Ariane Barbeblene” Ducasa, „Sięgfried” Wagnera, „Borys Godunow” Mussoryskiego, w którym rolę tytułową kreować będzie nowozangażowany świetny baryton p. Orda. Wznovione będą: „Don Juan” Mozarta, „Faust” Gounowa, „Noce Walpurji”, „Carmen”, „Tannhauser” i „Opowieści Hoffmana”.

Repertuar zapowiada się bogato. Jednakże wobec milionowych wydatków obciążających budżet opery warszawskiej, należy główny nacisk kłaść na wystawianie dzieł polskich i zerwać nareszcie z niezrozumiałą, a zakorzenioną u nas tradycją wystawiania autorów niemieckich w rodzaju Straussa, którego opery w repertuarze światowym nigdzie się nie utrzymują. Wogóle w stosunku do autorów obcych należy wprowadzić system zamienny, który by naszej sztuce oddał nieocenione usługi i nauczyłby naszych sąsiadów liczyć się ze sztuką polską.

S.

Z ruchu kobiecego.

Stowarzyszenie pań francuskich.

Pod powyższą nazwą powstało na południu Francji, w Prowancji, w okolicy Nizy, stowarzyszenie młodych pań, które, według brzmienia statutu, winny liczyć poniżej 25 lat.

Zadaniem stowarzyszenia jest:

„Poznanie i pokochanie małej lokalnej Ojczyzny i dostarczanie młodzieży zdrowych i godziwych rozrywek”.

W każdym departamencie i w każdej kolonii francuskiej ma powstać podobne stowarzyszenie dla wznowienia starych prowincjonalnych tradycji, zabaw, widowisk, konkursów, pochodów. W tych przedstawieniach występować ma mała, ściślejsza Ojczyzna w orszaku pieśni, legend, strojów, tańców, obyczajów”.

Komedjopisarze i dramaturdzy będą mieli szerokie pole do pracy, bo zapotrzebowanie na sztuki, oparte na prowincjonalnych tematach, a niekiedy i pisanych w miejscowym narzeczu, zwiększa się z dniem każdym. Dokonano już z powodzeniem takich prób w prowincji Poitou.

Przedewszystkiem otwiera się jednak pole do pracy narodowej, pożytecznej i połączonej z rozrywką dla młodych pań wszelkich stanów. Czyby nasze „młode Ziemiarki” nie chciały naśladować „francuskich pań”?

Żądanie kobiet amerykańskich dotyczące prawa małżeńskiego.

Federacja kobiecych klubów amerykańskich postanowiła zwrócić się do kongresów z żądaniem zastąpienia obowiązującego obecnie prawa małżeńskiego, następującymi przepisami:

„Kobiety poniżej lat 18, a mężczyźni poniżej lat 21, nie będą mogli zawierać związków małżeńskich, nawet ze zgodą rodziców.

Osoby pragnące wstąpić w związki małżeńskie są obowiązane przestawić świadectwo lekarskie o tem, że są zdrowe na ciele i na umyśle.

Złe obchodzenie się, opuszczenie, stwierdzona niewierność, nałogowe pijanstwo stanowią dostateczne przyczyny do rozwodu.

„Podanie o rozwód” może być złożone najwcześniej w rok po zawarciu małżeństwa, a nowe małżeństwo będzie mogło być zawarte dopiero w rok po uzyskaniu rozwodu.

Sprawy rozwodowe mają się toczyć przy drzwiach zamkniętych. Opiekę nad dziećmi ma sprawować matka, o ile nie zostanie uznana za niezdolną lub niegodną”.

Wprowadzono szczególną nowość w aktach stanu cywilnego w New Yorku. Na akcie urodzenia powinien się znajdować odcisk palców noworodka, zdjęty na piąty dzień po urodzeniu.”

Kongres Harcerstwa.

W Paryżu odbył się przy udziale 139 delegatów, przedstawiających 29 narodów i w obecności twórcy i założyciela harcerstwa Sir Roberta Baden Povell'a pierwszy międzynarodowy kongres harcerstwa.

Sekretarz komitetu francuskiego p. Martz podkreślił cele harcerstwa: „rozwój charakteru, rozwagi i sądu”. Harcerze całego świata są złączeni nie tylko wspólnym strojem i zewnętrznymi odznakami, ale wspólnym, wzniosłym ideałem, którym jest miłość Ojczyzny i ludzkości. „Harcerstwo to Wszechświatowy Związek braterskiej pomocy”.

O stałym wzroście Harcerstwa świadczą następujące cyfry: w 1910 r. liczba ich sięgała 124,000, w obecnej chwili jest ich przeszło dwa miliony.

Harcerze polscy zajmują pod względem liczebnym pierwsze miejsce na świecie bezpośrednio po Anglikach i Amerykanach.

Walka z gruźlicą.

Znamienny fakt zwycięskiej walki z gruźlicą notują pisma amerykańskie. W miasteczku Francingham, położonym w Stanie Massachusetts Ameryki północnej, osiągnięto, bez wszelkiego przymusu ze strony władz, jedynie dzięki medycynie społecznej niebywały rekord i śmiertelność z powodu gruźlicy zmniejszyła się do 4 na 10,000.

Przed sześciu laty Amerykańska Liga walki z gruźlicą obrała pół-przemysłowe, pół-rolnicze miasto Francingham liczące 16,000 mieszkańców, jako teren doświadczeń dla walki ze straszną klęską gruźlicy.

Zaczęto od przeprowadzenia ankiety i od ścisłego zarejestrowania nie tylko chorych, ale wszelkich wypadków podejrzanych. Wszyscy mieszkańcy dobrowolnie poddali się badaniu lekarzy, które wykazało, że na ogólną liczbę badanych, 23 procent było zupełnie zdrowych, 64 procent zostało zaliczonych do kategorii „chorób, których można uniknąć” a 13 procent zaliczono do bezwzględnie chorych, w tej liczbie 311 chorych na gruźlicę.

Po przeprowadzeniu badania przystąpiono do działania, które polegało z jednej strony na szerokim rozpowszechnianiu zasad higienicznych, na na umieszczeniu wszystkich dzieci, podejrzanych o gruźlicę w kolonjach wakacyjnych na świeżym powietrzu, na sanatoryjnej kuracji chorych, izolowaniu dzieci i t. d.

Świetne wyniki powyższego systemu zostały zakomunikowane Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi przez Amerykański Czerwony Krzyż. Okazuje się, że liczka wypadków daleko posuniętej gruźlicy, która w 1917 roku wynosiła 42 procent, dzięki oddziaływaniu na publiczność i szerzeniu przez lekarzy, sanitariuszki, ambulatorja, porady i prasę przepisów higienicznych spadła w 1921 r. do 17 procent. Śmiertelność zaś od gruźlicy, która w mieście Francingham wynosiła 12 na 10,000, w 1921 spadła do 4 na 10,000, t. j. do najniższej cyfry, którą kiedykolwiek zanotowano w którymkolwiek z cywilizowanych krajów.

Rada Międzynarodowego Czerwonego Krzyża uznała za konieczne podkreślić tak dodatni fakt i zwrócić na to uwagę lekarzy całego świata.

Szkoła w Lubocześnicy.

Szkoła gospodarczo-pedagogiczna sióstr Urszulanek w Lubocześnicy w Poznańskim, w pobliżu stacji kolei żelaznej, Pniewy, została założona trzy lata temu przez Matkę Ledóchowską, która wybrała na ten cel miejscowość piękną i zdrową nad jeziorem pniewskim o dwie godziny drogi od Poznania.

Zadaniem szkoły jest wdrażanie pańienek z inteligencji do pracy fizycznej w zakresie gospodarstwa; do pracy pedagogicznej nad działyw z ludu. W ochronce znajdującej się przy szkole, jest 40 dzieci, przeważnie przywiezionych z Danji przez M. Ledóchowską—dzieci wychodźców polskich.

Zajęcia podzielone są na trzy kursa: pierwszy kurs obejmuje roboty ręczne, szycie bielizny, sukien i bluzek, haft, robienie koronek, porządki domowe i raz na tydzień kuchnia; trwa 10 miesięcy. Drugi kurs dwuletni gospodarstwa domowego obejmuje kuchnię, pralnię, prasownię, szwalnię i porządki domowe. Trzeci kurs roczny gospodarstwa zewnętrznego obejmuje oborę, chlewy, stajnie, kurniki, stodoły i ogród. Wszystkie zaczynają się 1-go września. Na Boże Narodzenie uczennice mają trzy tygodnie wakacji, na Wielkanoc—dwa. Każda obowiązana jest pracować godzinę dziennie w ochronie.

Uczenice 1-go kursu, oprócz zajęć praktycznych, mają codziennie dwie godziny wykładów, podzielonych na dwie grupy. Do pierwszej należą: buchalterja, stenografia, język angielski albo francuski. (W zakładzie jest Angielka i Francuska). Do grupy drugiej należą języki: polski, angielski i francuski wraz z literaturą, historją powszechną i historją sztuki. Na wszystkich kursach obowiązkowe są wykłady apologetyki, pedagogiki i higieny. Na drugim i trzecim kursie, uczennice mają nadto trzy godziny tygodniowo bądź języka angielskiego, bądź francuskiego. Początkową naukę języków, oraz lekcje muzyki opłaca się osobno.

Zakład może pomieścić, od 30 do 40 uczennic. W pięknej i obszernej kaplicy codziennie słuchają Mszy Świętej. Garderoba powinna być jak najskromniejsza; konieczne są trzy duże fartuchy i mocne nieprzemakalne buciki. O ile uczennica nie przynosi z sobą mebli, płaci za wynajęcie ich pewną kwotę rocznie. Oprócz opłaty za naukę, zmieniającej się stosownie do wzrostu drożyzny, uczennica przywozi oznaczoną ilość produktów. Uczennice z dalszych stron mogą zastąpić te produkty pieniędzmi.

W tym roku Matka Ledóchowska założyła w Ozorkowie oddział tkactwa, który doskonale się rozwija; wyroby tam sporządzone, są rozchwytywane.

Nazwisko czcigodnej założycielki, chlubnie znanej ze swej działalności społecznej, najlepszą daje rękomię kierunku szkoły. Panuje tam duch wysoko religijny, duch miłości, pogody i pracy. Z. S.

Z teatru.

Dzierżawca z Olesiowa — Teatr im. Bogusławskiego. Powiało znowu ze scery dawną rzetelną wsią. Zapachniało sianokosem, chlebem razowym, dzieżką mleka zsiadłego, jabłkami i miętą. Stare polskie dwory i dworki. Biedermajery i mahoniowe sekretarzyki, wieńce dożynekowe i palma święcona, za obrazem Częstochowskiej zatknięta. Zaczne stadła, rozczulające babunie, naiwne pańienki i krewcy kawalerowie, plotkarki zaściankowe i swarliwe czupradła prowincjonalne, układny pachciarz, ekonom z marsem na czole, rozindyczona gospodyni, galerja w typy niebogata, poprostu bez pretensji do artyzmu wyciosana, ale jaka świeża, choć mvszka mocno trąci, a co chwila teatrem amatorskim zalatuje.

Ale cóż zrobić! Przybyłki to nie Fredro, nie Bałucki nawet, pocziwiec z archiwum teatralnego wyciągnięty na światło kinkietów, a taki nam bliski przez uśmiech i tży mimowolnych anachronizmów. Ten dzierżawca z Olesiowa, co ziemię ojcowską, rozprzedaną, rozdrobnioną, pragnie scalić i skupić—jakiż to zacofaniec i reakcjonista wobec wątpliwej wartości dobrodziejstw reformy rolnej...

S. P. O.

WZOROWE TRAKCIE MAŁE :: GREMPLE DO WELNY MAŁE PRZĘDZALNIE LNU

— poleca —

Fabryka Maszyn Inż. W. Żórawski w Warszawie ul. Wilcza 2.

EMPEKA

SPÓŁKA GOTOWYCH UBRAŃ

!!CENY KONKURENCYJNE!!

GUST!! ELEGANCJA!! TANIOŚĆ!!

SUKNIE WELNIANE, ETAMINOWE, BATYSTOWE,

:: SPÓDNICZKI, BLŪZKI, PALTA I KOSTJUMY ::

Adres sklepu: Podwale 9, od 9—1 i od 3—7.

Najbliższy przyst. tramw. NN. 0, 1, 4, Miodowa, naprzeciw Sądu Okr.

OD WYDAWNICTWA

Prenumerata „Bluszczu“

miesięcznie - - - - - Mk. 1000.—

z odnośzeniem do domu, lub przesyłką pocztową.

Zagranicą miesięcznie Mk. 3000.— Cena numeru pojedynczego Mk. 250.—

Zmiana adresu Mk. 100.—

REDAKCJA: Nowy-Świat 41 — Telefon 105-22.

ADMINISTRACJA: Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2, Koło Polek tel. 239-40.

CENY OGŁOSZEŃ

Strona	Cała	1/2	1/4	1/8	1/16
Pierwsza . .	60.000	35.000	20.000	12.000	6.000
Tekstowa . .	70.000	40.000	25.000	15.000	10.000
Ostatnia . .	60.000	40.000	18.000	10.000	6.000

Klische na koszt klienta.

Preparaty D-ra Séguinaud'a

1. Maski odmładzające, usuwają zupełnie zmarszczki, poduszki pod oczami, siatki i wgłębienia. Cena 5 i 3 tys. mk.
2. Tryumf leczy stanowczo czerwonosć nosa. Cena 3.000 mk.
3. Tuja płyn roślinny, szybko schnie, zupełnie usuwa: piegi i plamy. Cena 1.500 mk.

REPREZENTANT KLIMECKI

WARSZAWA, NIECAŁA 5.

Uskutecznia wysyłki za zaliczeniem.

OGŁOSZENIA przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU“: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA“, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK — Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“, Długa 9 i I. Buchweitz—Marszałkowska 107.

Wydawca: „KOŁO POLEK“.

Redaktor: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (Łozińska)

Tow. Zakładów Graficznych KOŁA POLEK Nowy-Świat 8.